

22 października

Może być około czwartej nad ranem. Preuß i jego żona przesunęli się troszkę, tak żebyśmy we troje mieli miejsce obok siebie.

Preuß opowiada i dowiaduję się mniej więcej tego:

„23 stycznia weszli Rosjanie. Oczywiście wszystko nam zabrali i gnębili kobiety, ale poza tym pierwsze trzy tygodnie były znośne. Potem przyjechali komisarze i przeganiali ludzi po całej okolicy, przesłuchiwali, młodszych wywieźli do Rosji. Pani hrabina (matka mojego szwagra) została tutaj i przez pierwszy okres traktowali ją znośnie. Często udawało się jej nawet ochraniać dziewczęta. Potem musiała sprzątać Rosjanom pokoje. To też było jeszcze do wytrzymania. Ale przepędzanie po drogach okazało się ponad jej siły. Akurat zachorowała, gdy się to zaczęło. W pobliżu Reichau odmówiła dalszego marszu, więc zastrzelili ją w zagajniku. Na oparciu sań leżących tuż obok w rowie ktoś napisał: «Tu leży hrabina z Ponarienu».

Wieczorem przed wkroczeniem Rosjan pani von Stein (moja ciotka) wróciła wraz z córką pieszo z więzienia Gestapo w Allensteinie. Miała na sobie więzienną kurtkę i spodnie, dlatego Rosjanie nie zwracali na nią uwagi. Pytali ją tylko: mężczyzna czy kobieta? Córkę wywieźli i słuch o niej zaginął. Pani von Stein została i pracowała przy krowach, najpierw tutaj, a potem w Reichau. Mieszkaliśmy tam w piwnicy – ośmiu mężczyzn i ona. Wczesnym rankiem 5 czerwca zniknęła. Chciała spróbować dostać się do domu. Odtąd nie mieliśmy od niej żadnych wieści. Może jest tam. Później pozwolili nam wrócić. Polacy zaczynają tu gospodarować. Jest ich niewiele. Cały czas mieliśmy coś do jedzenia, przynajmniej ziemniaki. Z głodu nikt nie umarł. Natomiast w ciągu lata dziewiętnaście osób zmarło na tyfus”.

Zapisuję wszystko w dzienniku. Tak szybko się zapomina, a później nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę.

Potem pyta mnie o rodzeństwo. Rosjanie opowiadali tu ludziom, że ponoć zostali złapani podczas ucieczki i wysłani do obozu, moja siostra do Hohensteinu, szwagier do Rosji. Mogę mu powiedzieć, że to nieprawda. Oboje przedostali się do Holsztynu. Co się później z nimi stało, oczywiście nie wiem. Preuß opowiada, że oboje wyruszyli konno, gdy Rosjanie już prawie byli we wsi. Było już zbyt późno na ucieczkę w konwoju, tak więc paru ludzi, wśród nich leśniczy, uciekło pieszo. Preußa Rosjanie początkowo bardzo gnębili, ponieważ nie chciał powiedzieć, gdzie „jest zakopane złoto”. Wśród kochanych rodaków znalazły się i tutaj mało chwalebne postacie, ludzie, którzy kosztem innych natychmiast chcieli przypodobać się Rosjanom. Wywieźli ich jednak szybko do Rosji. Przez cały dzień leżałem w łóżku, kurowałem zmaltretowane nogi i przespałem nawet parę godzin. Nikt nie spostrzegł mojej obecności. Czarnobrody mężczyzna nie puścił pary z ust. Jednak nie mogę tu zostawać i narażać ludzi. Podjąłem więc decyzję co do następnej nocy. Idę do Grasnitzu i poszukam ciotki. Perspektywa spotkania z nią budzi we mnie mieszane uczucia – radość i troskę.

Z brzuchem napełnionym chlebem i ziemniakami wyruszam nocą około wpół do jedenastej. Księżycowa noc pełna jest znowu promiennego blasku. Zaraz za nadleśnictwem przez drogę spokojnie przebiega truchtem wataha loch. Ich czarne grzbiety połyskują srebrzyście. Najwidoczniej i tutaj wszystko w najlepszym porządku. Przechodzę potem przez Reichau i skręcam w prawo w szeroką drogę. Co krok ogarniam wzrokiem taflę jeziora Narie, dopóki w Willnau moja droga nie odbija na lewo. Ta wieś też nie jest strzeżona. Stają się prawie zuchwały. Tym razem mam sporo czasu – całą noc na odcinek niespełna 25 kilometrów.

Cudowny las tątlawski przemierzam powoli, robiąc wiele długich postojów. W miejscu, gdzie otwiera się znowu wolna przestrzeń, droga zatacza szeroki łuk i opada w dół. Omija małe okrągłe jezioro, które leży mi u stóp jak lustro. Po drugiej stronie, tuż nad wodą stoją pośród srebrzystoszarych wierzb dwie chaty kryte strzechą. Kalenice dachów

toną w świetle księżyca.

Przedemną pojawia się znowu podłużna wieś – to Gallinden. Kiedy przechodzę przez miejscowość, z ciemności bramy wyłania się cień i staje przed jasną, jak za dnia ścianą domu.

Nie ma gdzie zboczyć, więc spokojnie zbliżam się prosto do niego. Jest to starszy, szczupły mężczyzna w cywilu ze śrutówką. Pytam go, którądy idzie się do Lockenu i pokazuję na opaskę z czerwonym krzyżem na lewym ramieniu. Nie rozumie, spogląda nieufnie, a nawet trochę bojaźliwie. Zapewne jest sam na posterunku. Wykonuję kilka gestów i idę po prostu dalej. Nie wie, czy mnie zatrzymać, kawałek idzie obok i w końcu zostaje w tyle. Wydłużam krok, jak się da, byle zniknąć mu z oczu, biegnę potem na skraj wsi i ukrywam się za stogiem siana na wypadek, gdyby mnie ścigano. Jednakże nic się nie dzieje i mogę wkrótce kontynuować wędrówkę.

Brückendorf na wszelki wypadek omijam. Za wsią droga do Lockenu pokryta jest świeżo spadłymi liśćmi. Szeleszczą przy każdym kroku, jakby się szło po papierze pergaminowym. Kiedy mijam Ramten, całkiem blisko pada pojedynczy strzał. Wolę więc ukryć się w krzakach, a dalej idę obok szosy. Wybieram skrót polną drogą, która przed Lockenem odbija na lewo, a później dochodzi do szosy na Biessellen. W Lockenie widać światła i dobiegają mnie głośnie głosy. Poranek jest już blisko.

Worleinen jest bardzo zniszczony. Na skraju drogi leżą resztki wozów i sań, a na pniach drzew widać ślady pocisków. Nagle mam wrażenie, że ktoś za mną idzie. Chowam się w krzakach przy drodze. Dwie minuty później zbliżają się szybkie kroki. Przechodzą dwaj mężczyźni, prowadząc rowery. Idę w pewnej odległości za nimi. Po lewej wyłania się jezioro Isąg. Na tafli wody widać pierwsze odbłaski dnia. Młyn z tartakiem jak wymarły.

I znów, już o wiele wyżej, mój szlak przecina Pasłękę, która, płynąc tu w cieniu lip i olch, łączy wiele jezior. Najchętniej poszedłbym stąd prosto do Grasnitzu, to jeszcze tylko 20 minut przez las, ale muszę liczyć się z tym, że nie ma tam ciotki, która pewnie przebywa w Langgucie, następnej miejscowości, należącej dawniej do Grasnitzu. Najpierw tam chcę jej szukać.

W Langgucie palą się już światła i słychać odgłosy dobiegające z podwórek. Nie ma sensu już zwlekać. Idę od tyłu wzdłuż pierwszych czworaków i pukam do każdego okna. Pierwsze dwie sylwetki cofają się na mój widok i już się nie pokazują. Ale trzecia, młoda kobieta, nie ucieka. Mierzy mnie wzrokiem, mam wrażenie, że rozpoznaje, kładzie palec na usta i otwiera okno. Jej oczy już kiedyś widziałem. – „Czy jest tu pani von Stein?” – pytam. – „Tak, jest w Grasnitzu. Ale niech pan nie idzie przez majątek, tam są polscy żołnierze. Lepiej niech pan przejdzie przez młyn z tartakiem, tam nie ma nikogo. Ona mieszka w mieszkaniu ogrodnika.”

A więc znów z powrotem do młyna, drogą nad jeziorem przez las. Pełen napięcia znów biegnę, choć nogi prawie odmawiają posłuszeństwa. Odnaleźć kogoś bliskiego po tym wszystkim, co się stało, to przedsmak spotkania się w niebie.

A teraz ostatni przystanek dla zaczerpnięcia oddechu. W jeziorze pobłyskują już pierwsze promienie słońca. Od strony lasu kasztanowe aleje wyglądają jak złote mosty zwieszające się ku wzniesieniu, do którego zmierzam. Stare lipy na zboczu przesłaniają mi widok. Jeszcze parę kroków i już zdumiony patrzę na ocalały dom na wzgórzu, przejęty wspina się szeroką, wybrukowaną drogą, mijam pustą rosyjską budkę z barierką i zatrzymuję się przed dawnym mieszkaniem ogrodnika. Nabieram głęboko powietrza, otwieram drzwi i wchodzę do izby. Przy stole kuchennym siedzą trzy kobiety. Przez chwilę patrzymy na siebie

pytająco, ale potem jedna z nich się zrywa i padamy sobie w ramiona.

Koniec października 1945 do 10 stycznia 1946

Niebiańskie poczucie bezpieczeństwa! W komórcie na strychu ciotka urządziła na wszelki wypadek pokój gościnny, ustawiając tam meble powyciągane z pobliskich rumowisk. Leżę tam przez cały dzień i oszczędzam nogi, ona zaś od czasu do czasu wchodzi na górę, przynosi mi coś do jedzenia albo siada przy łóżku i opowiada o wydarzeniach z ostatniego lata.

Jak dowiedziałem się już od Preuße, 5 czerwca wczesnym rankiem uciekła z Reichau i przyszła tutaj. Droga była okropnie uciążliwa z powodu gwoźdźcia w bucie, nie miała jednak odwagi zdjąć go i zajrzeć do środka, obawiając się, że uniemożliwi jej to dalszy marsz. Tu, w Grasnitzu, zastała większość ludzi z majątku, zaś jej dawna gospodyni, panna Jokuteit, przyjaźnie wzięła ją do siebie. Mieszkała już u ogrodnika, z jego żoną i dwiema osiemdziesięcioletnimi starymi pannami, które należą do domowników ciotki. Poza tym przyjęły obcego mężczyznę z odmrożonymi stopami, który utknął tutaj podczas wkraczania Rosjan. Pozostali ludzie początkowo nie wiedzieli, jak mają się zachowywać wobec mojej ciotki. Było im pewnie trochę niezręcznie, bo wróciła w momencie, kiedy już z konieczności funkcjonował rodzaj *modus vivendi* w stosunkach z Rosjanami i Polakami. Jej nagłe pojawienie się zdawało się podawać go w wątpliwość, dlatego też zachowywano się wobec niej wyczekująco. Stopniowo przyzwyczajono się do jej obecności. Chodziła jak inne kobiety do pracy i jak one dostawała mąkę i pół litra chudego mleka dziennie. Początkowo przez parę dni musiała pracować we własnym domu, gdzie zamieszkał rosyjski komendant z niejaką panią Schmidt, którą sprowadził z Pomorza. Zabrała się tam do sprzątanania w taki sposób, że nie odpowiadało to wspomnianej pani Schmidt. Tak czy inaczej, wkrótce została zwolniona. Tymczasem para ta przeniosła się do Langguta, a dom stoi pusty. Pozostała w nim tylko ogromna szafa ubraniowa. Cała reszta leży na rumowisku albo rozeszła się po bliższej lub dalszej okolicy. Część mebli stoi jeszcze w szopie w Langgucie i komendant stopniowo zużywa je na opał. Nie odmawia sobie tej przyjemności i osobiście rąbie je siekierą.

Do lata gospodarowali tu jeszcze Rosjanie. W czerwcu zwieźli setki walających się po okolicy zdechłych krów i powrzucały do stawów, aż te wystąpiły z brzegów. Potem odbyły się sianokosy i żniwa. Tymczasem zarząd przejęli Polacy. Początkowo nie działało się nic sensownego. Teraz, odkąd zaczęły się przymrozki, zabrano się wreszcie za wykopki ziemniaków. Do tej pory wszystkie kobiety wysyłano do lasu na grzyby, które miały być przesyłane do Warszawy. Robiły to zresztą bardzo chętnie, ponieważ przy okazji mogły zbierać na własne potrzeby. Grzyby, których nadal jest mnóstwo, składowano w jednej z szop na kilkumetrowym stosie, gdzie potem zgniły.

We wrześniu ciotka była w Januschau szukać mojej matki. Pociągiem towarowym dojechała do Deutsch Eylau, a dalej szła pieszo. Dotarła na miejsce późnym wieczorem, przespala się więc pod drzewem w alei i dopiero następnego ranka udała się do wsi. Byli tam tylko Rosjanie. Zaraz wzięli ją do domu, nakarmili i chcieli zatrzymać do pracy. Udało się jej jednak wymknąć, wróciła zaraz do Eylau, skąd zabrała się kolejnym pociągiem towarowym. W lesie koło Jablonken musiała wyskoczyć, gdyż jakiś Rosjanin zaczął ją napastować. Ze zwichniętą nogą wieczorem dotarła do domu.

Na sposób traktowania jej przez Polaków ciotka nie może się uskarżać. Raz ją pobili, co nie było przyjemne. Poza tym jednak wszystko, co tu dotychczas przeżyła., jest jak wczasy w porównaniu z półrocznym pobytem na Gestapo w Allensteinie. Na dodatek stary Grasnitz tej jesieni

był tak piękny, jak nigdy wcześniej. Naprawdę niesłychane te barwy! Zwierzyna łowna stała się taka ufna. Niedawno locha z warchlakami podeszła nocą pod dom i przez dłuższą chwilę stała w jasnym świetle księżycy na trawniku pod oknem.

Jeśli o mnie chodzi, ciotka uważa, że byłoby najlepiej, gdybym na razie tutaj został. Jakoś to będzie, twierdzi. Może Polacy się ucieszą, gdy się dowiedzą, że jest tu lekarz. Nie mają przecież żadnego w pobliżu. O swoich bliskich ciotka nie wie nic. Podobno ktoś widział jej męża i dwie córki w obozie, podobno przesyłali pozdrowienia. Jej synowie byli na froncie, kiedy kończyła się wojna. Nie chcemy się zadręczać przypuszczeniami, co mogło się stać z naszymi bliskimi. W tej chwili to już wielkie szczęście, że możemy być razem.

Po dwóch dniach leżenia w łóżku wykurowałem sobie na tyle stopy, że mogę znów założyć buty. Mojej obecności dotąd nikt jeszcze nie zauważył – nie pytał o mnie ani komendant, ani polscy żołnierze stacjonujący w Langgucie. Przygotowany na wszelkie niespodzianki, trzymam się na razie z boku, a kiedy kobiety idą do pracy, zostają w domu.

Kiedy rano schodzę na dół, izba i kuchnia są już wyszorowane, beczka napełniona wodą, przetarte poprzedniego dnia skarpety zacerowane, a na stole czeka śniadanie. Po śniadaniu zostaję sam ze starą lii – żyjącą jeszcze jedną z obu osiemdziesięcioletnich starych panien, która cierpi na całkowite pomieszenie zmysłów – i staram się być pożyteczny. Rąbię drewno, przynoszę wodę z rzeczki oddalonej o 33 metry, gotuję ziemniaki – wszystko ściśle według wskazań mojej ciotki. Trzeba wiedzieć, jak rozpala się ogień, ile drewno potrzeba do pieczenia chleba, a także to, że wody po gotowaniu ziemniaków nie wolno odlewać, bo przyda się na zupę – i wiele innych rzeczy, które okazują się niezbędne dla zabezpieczenia egzystencji.

Pod wieczór wychodzę naprzeciw kobietom wracającym z pracy, każdego dnia trochę dalej. Na dłuższą metę nie da się przecież mojej obecności zachować w tajemnicy. Każda z nich przynosi do domu po dwa kosze ziemniaków z wykopek. Sortujemy je według gatunków na różnych stosach w piwnicy – daje to możliwość pewnego urozmaicenia codziennego menu. Potem przy stole kuchennym jemy kolację – ziemniaki i rodzaj zupy z dyni, a przy kuchennym piecu suszą się mokre skarpety. W ostatnich dniach października wieś jest zaniepokojona pogłóskami o transporcie na Zachód. Nikt nie wie, czy należałoby się zgłosić.

Transporty związane są z trudami i niebezpieczeństwami.

Nie wolno niczego zabrać, a i tak po drodze rozbierają ludzi do ostatniej koszuli i obrabowują. Jazda w bydłowym wagonie trwa na pewno kilka dni, a może nawet tygodni, po drodze nie można się ani ogrzać, ani zdobyć pożywienia. Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że trafi się rzeczywiście na Zachód. Można wylądować w obozie pracy, a tego wszyscy się obawiają.

Z tych też powodów ciotka uważa, że trzeba przeczekać. Mimo to chcemy spróbować zasięgnąć bliższych informacji o warunkach transportu i postanawiamy pójść do Biessellenu, który oddalony jest o pięć kilometrów i leży przy linii kolejowej.

Po drodze natykamy się w lesie na dwa dziczące psy, które właśnie zagryzły sarnę. Udaje się nam je przegnać. Sarnę wieszamy na drzewie, żeby ją zabrać w drodze powrotnej.

W Biessellenu odwiedzamy najpierw starych państwa S. Pani S. jest dzięki swojej znajomości polskiego dobrze zorientowana i stanowczo odradza transport. Dostaliśmy u niej coś do jedzenia, a potem udajemy się do polskiego punktu meldunkowego; ja chwilowo pozostaję w ukryciu. Ciotka wchodzi do baraku i po pewnym czasie pojawia się w towarzystwie Polki, która coś jej żywo tłumaczy. Zbliżają się do mojej

kryjóWKi. Zostają przedstawiony i dowiaduję się, że mam przed sobą „doktorkę”, była pielęgniarzkę, która przejęła opiekę nad chorymi w okolicy. Kiedy dowiaduje się, że jestem lekarzem, chce mnie natychmiast sprowadzić do Biessellenu, gdzie miałbym jej pomagać. Zachowuję się z rezerwą, ponieważ nie jestem pewien, jak miałyby to przebiegać. Tak czy inaczej, nie da się dłużej ukrywać mojej obecności i jestem ciekaw, jak wszystko dalej się potoczy. W drodze powrotnej zabieramy zdobyczną sarnę – podzielimy się z tymi, którzy, tak jak my, nie mają „układów” i już od dawna nie widzieli mięsa.

Na początku listopada rzeczywiście odszedł zapowiadany transport. Zupełnie nieoczekiwanie podjechały wozy i kto się zgłosił, musiał wsiadać. W Osterode podobno zgromadziły się setki ludzi, i jak się dowiadujemy, źle się to dla nich wkrótce skończyło. W każdym razie jesteśmy radzi, że nie byliśmy wśród nich.

We wsi się uspokoiło i kobiety znowu chodzą do pracy. Mimo naszych ostrzeżeń zarządzono zwiezenie wszystkich dobrych ziemniaków z pola do pustej obory, gdzie usypywane są aż po dach. Można przewidzieć, że wszystkie zmarzną, dlatego też kobiety starają się przenosić je półoficjalnie do domowych piwnic. Z tego samego powodu chcemy po kryjomu usypać mały kopiec ziemniaków na Wzgórzu Pięciu Lip^[58].

Przed wschodem słońca wykopujemy prostokątny dół i wysypujemy doń około 20 cetnarów najlepszych ziemniaków. Z wierzchu przykrywamy go słomą, ziemią i trochę maskujemy. Właśnie zdążyliśmy skończyć, kiedy miedzą nadchodzi dwóch polskich żołnierzy, przystają na chwilę [58] Fünflindenberg, nazwa zwyczajowa używana przez miejscowych. zdziwieni, ale potem idą dalej.

Wieczorem przyjeżdża rozklekotany samochód i trzech żołnierzy zabiera mnie do Langgut. Idę spokojnie, ale oddycham z ulgą, kiedy dowiaduję się, o co chodzi. Pani Schmidt z konieczności zażyła coś, co jej nie posłużyło, i mam udzielić jej porady. Polacy nie traktują tego zdarzenia zbyt serio. Odwożą mnie nawet z powrotem.

Fakt, że skorzystano z mojej pomocy w tak niewinny sposób, traktuję jako pretekst i zaczynam swobodniej się poruszać. Nawiązuję kontakt z „doktorką”, a poza tym odbywam wizyty u chorych w pobliskich miejscowościach. Wkrótce mam regularny rozkład dnia: rano idę do Biessellenu, gdzie przyjmuję chorych w małym, założonym przez „doktorkę” ambulatorium. Dostaję tam obiad, a potem chodzę po wsiach na prawym i lewym brzegu Pasłęki. Stopniowo ludzie mnie poznają i nikt mi nie przeszkadza. Nawet siejąca postrach milicja prosi mnie czasami o pomoc, przez co oczywiście znacznie wzrasta moje poczucie bezpieczeństwa.

A jednak czas wypełniają rozmaite troski i kłopoty tego prostego, ograniczonego życia. Rozstajemy się wczesnym rankiem, nie mając nigdy pewności, czy wieczorem znów się zobaczymy. Potem idę stromym zboczem w dół do rzeczki, dalej przez mostek, z którego czerpiemy wodę, do lasu, a później nad brzegiem jeziora aż do drogi przelotowej. Tam należy mieć się na baczności z uwagi na przejeżdżające sowieckie wojska. Po wyjściu z lasu idę dwa kilometry przez pole wzdłuż linii elektrycznej i wychodzę dokładnie na dom państwa S., którzy przyjęli nas tak przyjaźnie przy pierwszej wizycie. Już z daleka widzą, że nadchodzę, i zawsze mają coś ciepłego do jedzenia. To wystarczający powód, żeby zachować ich we wdzięcznej pamięci.

Działające od niedawna ambulatorium mieści się w domu za przejazdem kolejowym, obok jest kilka pustych pomieszczeń z paroma prymitywnymi pryzkami. W piwnicy na dole „doktorka” zgromadziła resztki niemieckich zasobów sanitarnych, które służą do własnego użytku, a także zaopatrują apteki w Osterode i Allensteinie. Wśród pacjentów

mamy kilku chorych na tyfus, Polaków i Niemców. Opiekują się nimi dwie dziewczyny z sąsiedniej wsi, które już przeszły tyfus. Poza tym przyjmujemy czasami osoby po wypadkach, Polaków, którzy poparzyli się podczas pędzenia bimbru, pewnego starszego, niemal kompletnie zagłodzonego Niemca, którego znaleziono przy torach – prawdopodobnie wypadł albo został wyrzucony z transportu powracających z Rosji; mamy też młodego Polaka, który między Osterode i Allensteinem wdał się w zatarg z Rosjanami i z postrzałem w pierś wyrzucony został z jadącego pociągu; sympatycznego polskiego żołnierza, który złamał sobie kość podudzia i którego poskładałem. Łamałem sobie głowę, opatrując mu złamanie, ponieważ nie wiedziałem, czym porządnie unieruchomić nogę. Słomiane koszyczki na butelki owinięte papierem okazały się nieskuteczne, więc poprosiłem kolegę pacjenta o zdobycie gdzieś gipsu. Pojechał do Allensteinu i wieczorem wrócił z torebką cementu. Dało się z tego zrobić trochę masywny, ale w miarę stabilny opatrunek. Niestety, pacjenta dość wcześnie odtransportowano, tak więc nie mogę powiedzieć, czy opatrunek się sprawdził, a zwłaszcza, jak udało się go usunąć. Na leczenie ambulatoryjne zgłaszają się głównie kobiety i dziewczęta z tymi samymi strasznymi objawami chorobowymi, wobec których musimy kapitulować, ponieważ nadal nie ma jak prawidłowo ich leczyć. Jest to więc rodzaj pozornej terapii, która ma obu stronom przynieść trochę pociechy.

Na obiad dostają królewskie – jak na nasze warunki – jedzenie, składające się zazwyczaj z ziemniaków i konserw z amerykańskich darów. Potem wyruszam na obchód po okolicznych wioskach, przy czym za każdym razem staram się zataczać większy krąg.

Jeszcze nigdy nie miałem okazji takiej jak teraz, by poznać tę ziemię i ludzi. Jako lekarz jestem zazwyczaj mile widziany, co zawsze bardzo mnie zachęca do tych wędrówek. Nierzadko wiodą mnie one 25–30 kilometrów – ruszam przez Gusenofen i Mittelgut, potem przekraczam Pasłękę w miejscu zwanym „Von Ferne”^[59] i idę dalej przez Penglitten, Leissen, Dietrichswalde, Woritten i przez Langgut wracam do domu. Po prawej stronie Pasłęki, na tak zwanej Warmii, zostało o wiele więcej ludzi niż na lewym brzegu. W większości są to katolicy, mówią trochę po polsku i może wierzą, że dzięki temu mają więcej szans u Rosjan i Polaków. Są jednak tak samo wynędzniali jak wszyscy inni. Tylko fakt, że od czasu do czasu spotyka się tu młodych mężczyzn, pozwala sądzić, że po tej stronie można ukryć swą narodowość.

Kilka rodzin ma jeszcze kury. Jest też parę kóz. Niewielu uprzywilejowanych posiada starego konia, poza tym nie ma już chyba żadnych zwierząt. Niektóre ich kryjówki przetrwały zdumiewająco długo. Pewnej kobiecie z trójką dzieci udało się nawet przez kilka miesięcy przechować krowę. Zamurowała ją w izbie, zostawiając dostęp tylko przez okno. Inna, też z małymi dziećmi, przez długi czas trzymała w ukryciu między drzwiami a szafą mleczną owcę, którą w końcu zdradziło beczenie. W piwnicach przez dłuższy czas chowano świnie.

Ludzi również ukrywano. Pewna kobieta dopiero teraz wypuściła z piwnicy swą świeżo wydaną za mąż córkę, którą ukrywała od stycznia przed wszystkimi, nawet przed własną siostrą. W innej miejscowości Rosjanie jeszcze w lecie znaleźli i zabrali dwie dziewczyny, a załamana matka wydała im inne ukrywające się we wsi dziewczęta.

Donosiciele nie brakowało więc nigdzie. Jednak najczęściej, nie jak w tym przypadku, zdrady dopuszczano się nie z rozpaczy, lecz raczej z niezaspokojonej żądzy zemsty i innych popędów, które w mrocznych

[59] Nazwa używana przez miejscowych.

czasach wydobywają się żywiołowo z ciemnych głębin osobowości.

Niemal każda miejscowość naznaczona jest niszczycielskim działaniem

tego stanu ducha. Niektórzy posuwali się aż tak daleko, że już sami Rosjanie mieli ich dosyć i kładli kres ich aktywności.

Żonę jednego z takich ludzi, matkę wielu synów, z których kilku służyło w Wehrmachcie, poznałem w niezwykle sposób. Odwiedziłem pewnego starego człowieka, który cieszył się szczególnym poważaniem jako kaznodzieja Wschodniopruskiego Związku Modlitewnego^[60], i rozmawiałem z nim o bolączkach wsi. Przy tej okazji wspominałem o takim, znanym mi z opowieści, ludzkim potworze. Mój rozmówca nagle stał się dość opryskliwy i próbował skierować pogawędkę na inne tory. Nie od razu zrozumiałem, o co chodzi, i tak długo drążyłem, aż pewna kobieta siedząca z nami przy stole jęknęła i powiedziała: „No tak, to był mój mąż”.

Wśród ludzi, których odwiedzam, jest już kilku, którzy właśnie wrócili z rosyjskiej niewoli, po części z obozów w Prusach Wschodnich i Zachodnich, po części z samej Rosji. Większość z nich to kandydaci na umrzyków. Dwaj starsi ludzie – bracia, właściciele gospodarstwa leżącego tuż nad Pastęka – wrócili z Rosji do domu w odstępie godziny. Prawdopodobnie jechali tym samym transportem, byli całkowicie odwodnieni, wewnątrz zaś zmartwiali. Jeden z nich zmarł już po kilku dniach, drugi miesiąc później.

Podobnie zmartwiała jest też młoda dziewczyna, która wróciła z obozu nad Morzem Lodowatym. Siedzi jeszcze przy stole, można z nią porozmawiać. Chłodno i twardo relacjonuje, co ją spotkało, także ze strony rodaków. Ma się wrażenie, jakby mówił to ktoś, kto już nie żyje. Czasami wybieram się na wędrowkę również w przeciwną stronę, bardziej na zachód i na północ, do położonych przepięknie na skraju

[60] Ostpreußischer Gebetsverein, założony w 1885 roku.

lasu i odbijających się w jeziorze miejscowości Rapatten i Dlusken, a potem przez Wönicken, Pupken, Worleinen wokół jeziora Isąg do Pulfnicku. Ludność we wszystkich tych miejscowościach jest wyłącznie protestancka. Spotykam kilkoro dzieci, które nie są jeszcze ochrzczone, korzystam więc z okazji, by to nadrobić. Zawsze odbywa się to w ramach małej uroczystości, w której uczestniczą również sąsiedzi. Posługa ta sprawia, że niejedno przychodzi mi do głowy na temat istoty sakramentu chrztu i naszego dziwnego doń stosunku. Szczególnie znamienna jest odpowiedź pewnej kobiety, której dziecko miało już prawie dwa lata, na moje pytanie, czy jest ono ochrzczone. „Nie – powiedziała – jest zaszczerpione, ale nie ochrzczone.”

Zachęceni tymi małymi uroczystościami postanawiam odprawiać niedzielne nabożeństwa w opuszczonym kościółku w Langgucie. Pierwsze odbywa się w Niedzielę Zmarłych za zgodą komendanta i pod nadzorem uzbrojonego strażnika. Mówię, że za pośrednictwem Słowa Bożego chcemy tym razem oderwać się od wspomniania zmarłych i zaginionych, a także od myśli o naszej własnej śmierci, skierować natomiast uwagę na życie i ocalałych, z którymi dane jest nam wspólnie egzystować. Mówię też o wdzięczności za wszystko, co niezastuzenie zostało nam darowane. Również z innych wsi przyszło wiele kobiet – proszą o odprawienie i u nich nabożeństwa.

W niedzielne popołudnia robię z ciotką wycieczki po okolicy, których celem jest nie tylko nacieszenie się wolnością, lecz także urozmaicenie naszego jadłospisu. Uzupełniamy zgromadzone przez ciotkę zapasy grzybów, jagód i ziół, przynosząc z opuszczonego pola pod Worleinen kilka cetnarów buraków na syrop, próbujemy przetwarzać łubin i inne rośliny, które nikogo nie interesują. Drewno na opał taszczymy z lasu. W piwnicy pałacu podbieramy ukradkiem węgiel, bo nikt jeszcze nie zwrócił nań uwagi.

Przy tej okazji oglądamy dom od środka, bo zamknięty jest tylko na

gwóźdź. Nie ma tam już niczego, jedynie kilka poroży i ogromna szafa na ubrania, pozostawiona pewnie ze względu na jej wielkość. Resztę zużyto już na opał, poza tym różne rozproszone przedmioty napotykam w domach Niemców i Polaków podczas wizyt u chorych. Szczególnie często na grzbietach pacjentów widuję koszule z inicjałami moich krewnych. Pod koniec listopada przybywa nam jeszcze jeden domownik – dawny szofer Groß. Któregoś dnia zjawił się w Biessellenie zwolniony z obozu jenieckiego w Grudziądzu. Jest w złym stanie, a ponieważ nie mamy żadnej możliwości transportu, zostawiliśmy go początkowo w naszym małym szpitaliku i zabraliśmy do domu dopiero wówczas, kiedy stanął na nogi. Wkrótce wydojrzał, zaczął chodzić na ryby, a w końcu na zlecenie komendanta zajął się zniszczonym młynem z tartakiem, by go w miarę możliwości na nowo uruchomić. Umieściliśmy go na górze, w moim pokoju. Ja natomiast sprowadziłem się na dół, do ciotki, i śpiemy w jednym pomieszczeniu ze starą Iii. Ta zaś nieprzerwanie fantazjuje o okresie przełomu wieków, kiedy to przebywała w Wiedniu jako guwernantka, najwidoczniej u bardzo zamożnych ludzi. Ciągłe wysiada z jakiejś kolasy, zaplątuje się przy tym w pościel i upada na podłogę. Czasem wygłasza gniewne kwestie. „Panie Boże, Tyś zawsze naszą ucieczką – słyszymy, a zaraz potem dodaje – ładna mi ucieczka!” Mimo wszystkich kłopotów, jakie sprawia ona ciotce, czasami musimy się z niej szczerze uśmieć. Kobiety nadal chodzą do Langgutu do pracy. Ziemiaki leżące w oborze na wysokich na kilka metrów stertach, zmarznięte już i nadgnięte, muszą teraz wywozić z powrotem na pole i usypywać w kopcach. Nie nadają się już do jedzenia, a praca przy nich jest okropnie brudna. Może przynajmniej zrobią z nich spirytus – wielkim nakładem sił w tym celu sprowadzili właśnie bodaj z Korschenu 200 cetnarów pszenicy. Składują ją na strychu z nieszczelnym dachem, trzeba więc szybko przystąpić do dzieła. Naprędce uruchomiona została gorzelnia. Jednak kiedy wreszcie zacier zaczyna fermentować, zawala się jedna ze ścian i pierwsza wielka beczka wylewa się prosto do pobliskiej Pastęki.

Często chodzę do Langgutu z wizytą do chorych. Pewnego razu w mieszkaniu nowego zarządcy spotykam wyższego polskiego oficera, który najwidoczniej przyjechał skontrolować żołnierzy stacjonujących w majątku. Kiedy wchodzę do pokoju, podrywa się i mierzy mnie surowym wzrokiem. „Co to za jeden?” – słyszę, jak pyta. „To lekarz” – odpowiada zarządca. „Papiery?” – krzyczy do mnie. Gdybyś ty wiedział, myślę sobie, że zaraz, za chwilę, przemierzę 30 kilometrów, a może i więcej, aż do miejsca, gdzie mnie już nie znajdziesz. Tymczasem sięgam spokojnie do kieszeni kurtki, wyciągam znajdujący się tam przypadkowo świstek i wykonuję gest, jak bym chciał mu go podać. To wystarcza. Macha ręką i przestaje się już mną interesować. Z ulgą wychodzę.

Podczas odwiedzin u polskich rodzin najczęściej muszę napić się wódki i dostaję coś do jedzenia. Większość z nich też żyje w skrajnej biedzie, zamieszkując prawie puste, prowizorycznie uszczelnione izby. Lepiej wiedzie się ludziom z milicji i polskiego Gestapo, zwanego tu UB, bo mają oni więcej możliwości, żeby sobie coś załatwić. Czasem dostaję od nich dobre rzeczy. Pewnego razu komendant z Lockenu wysłał po mnie wóz podczas zawieji śnieżnej. Ma ropne migdałki i najchętniej zatrzymałby mnie u siebie na parę dni. Zostaję przy nim przez noc. Następnego ranka udaje mi się go przekonać, że stan się poprawił, i po krótkich ceregielach odsyła mnie do domu swymi końmi, nie zapominając dać mi trochę pieniędzy i obdarowując jajami, białym chlebem, skarpetami i koszulą, na której widnieje monogram mego wuja.

Dobre stosunki z budzącym postrach UB zawdzięczam chyba głównie „doktorce”. Pewnego razu, zaraz na początku, naskoczyła tak ostro na trzech funkcjonariuszy z bronią, którzy najwyraźniej zamierzali dokładniej

się mną zająć, że chyłkiem się wycofali. Poza tym gorliwie stara się mnie spolonizować. Co rusz pyta mnie, czy kiedyś w mojej rodzinie nie pojawiło się jakieś polskie nazwisko. W końcu daję się namówić i oznajmiam, że przed wojną trzydziestoletnią nazwisko „Mgowski” pojawiało się czasami w kontekście mojego. Jest wprost zachwycona i kilka dni później wręcza mi rodzaj dowodu osobistego, w którym, ku mojemu niemałemu zaskoczeniu, figuruję jako „Jan Mgowski”. (Niestety, utraciłem ten interesujący dokument podczas jednej z późniejszych rewizji osobistych.) Czasem udaje mi się przynieść do domu pokaźną zdobycz. Raz jest to całe 30 funtów mąki pszennej z młyna Bandta, dokąd wezwali mnie polscy żołnierze, innym razem żywa kura od ludzi, u których cała rodzina leżała chora na tyfus. Mąkę przyjmujemy ze szczególną radością, myśląc o Bożym Narodzeniu. Z kurą, nazywaną Lorchen, nawiązujemy bliską przyjaźń.

„Doktorka” ma od dawna zamiar przedstawić mnie swoim przyjaciółom w Allensteinie i Osterode. Bardzo odważnie zabiera mnie któregoś dnia ze sobą do Allensteinu. Za czternaście złotych korzystamy z porannego pociągu składającego się z trzech wagonów towarowych. Po przybyciu na miejsce wpadam niemal w popłoch, widząc, co się dzieje na dworcu i w najbliższym otoczeniu. Roi się tam od rosyjskich i polskich wojskowych oraz nieokreślonych osobników z ich świty, którzy mają coś do sprzedania lub włóczą się bez celu po okolicy. Znowu czuję się jak w głębokiej Azji i widzę, że „doktorka” też usiłuje jak najszybciej wydostać się z okolic dworca. Miasto jest tylko częściowo zniszczone, większość zabudowy jest bodaj całkowicie nienaruszona i zajęta przez tłumy Polaków.

Zachodzimy do Szpitala Mariackiego, gdzie spotykamy lekarza i kilka palących papierosy pielęgniarek, z którymi „doktorka” prowadzi ożywioną rozmowę. W tym czasie odwiedzam siedem niemieckich sióstr, które na poddaszu wiodą marny żywot i nie są dopuszczane do opieki nad chorymi.

Trzy dni później „doktorka” zabiera mnie do Osterode, ale tym razem występuję w roli tragarza butelek z benzyną, eterem i innymi cieczami przeznaczonymi do apteki. Nie czuję się dobrze, biorąc udział w tym przedsięwzięciu, ponieważ nie mam najmniejszej ochoty stać się jeszcze bardziej znany wśród Polaków. Z drugiej jednak strony cieszę się oczywiście z możliwości obejrzenia miasta pod damską obstawą. Jest straszliwie zniszczone i panuje tu o wiele mniejszy ruch niż w Allensteinie. Tylko przed urzędem starostwa widać większą grupę ludzi, kilka rowerów i końskich wozów. Odwiedzamy tak zwanego lekarza powiatowego, jedyne w tej chwili, w aptece uskuteczniamy handel wymienny, kupujemy najróżniejsze drobiazgi do naszego ambulatorium i rozwijającego się gospodarstwa „doktorki”. Wspólnie odwiedzamy pięć niemieckich sióstr katolickich, które pozostały na plebanii i którym mogę przekazać pozdrowienia ze Szpitala św. Elżbiety w Königsbergu, ich macierzystej instytucji. W drodze powrotnej znowu mam co dźwigać, między innymi worek kości przeznaczonych do kuchni.

Komunikacja kolejowa między Osterode i Allensteinem jest utrudniona, gdyż Rosjanie wszędzie pousuwali drugi tor. W obu kierunkach kursują tylko dwa pociągi osobowe dziennie, przy czym jeden prowadzi wagony bydłące. Ale i one mają trudności z przejazdem, bo trasę często blokują pociągi towarowe. Przyjeżdżają załadowane z Berlina, a wracają puste. Wszystko, co zostało w Niemczech zdemontowane, Rosjanie wywożą w wielkich skrzyniach lub luzem na wschód. Podobno dziennie przejeżdża 10–15 takich pociągów. Ich obsługa nierzadko składa się z Niemców pilnowanych przez rosyjskich strażników. Kiedy pociągi zatrzymują się w Biessellenie, nawiązuję czasem z nimi rozmowę i podaję im listy na

różne adresy w Niemczech, w nadziei, że któryś z nich dotrze do celu. Nie wchodzi w rachubę, żebym pojechał z nimi, gdyż pociągi są po drodze ostro kontrolowane. A jednak mam nadzieję, że kiedyś wykorzystam tę okazję. Ciągnie mnie oczywiście bardzo do moich bliskich i nie chciałbym wiązać się tu na dłużej.

Rosyjska obstawa pociągów, korzystając z postojów na stacjach, nierzadko udaje się po prywatne łupy. Widziałem pewnego razu, jak jeden z nich zasapany dźwigał kanapę na plecach do pociągu. Tymczasem lokomotywa z wagonami obstawy odjechała daleko za stację, tak więc musiał się mordować, pokonując blisko 400 metrów w głębokim śniegu na nasypie. Już prawie dotarł do wagonu, a wtedy pociąg powoli zaczął się cofać, on zaś musiał ze swym ciężarem przebyć jeszcze raz tę samą drogę. Jednak i to na próżno, bo kiedy, ociekając potem, znalazł się przed drzwiami wagonu, pociąg ruszył tak gwałtownie, że nie pozostało mu nic innego, jak rzucić kanapę i szybko wskoczyć na stopnie. Przyglądamy się takim scenom ze złośliwą satysfakcją, zrozumiałą wszakże w naszej sytuacji.

Polscy strażnicy kolejowi nie mają łatwo z Rosjanami. W sytuacji podbramkowej jedyny sposób na wybrnięcie z opresji to zniknąć z pola widzenia. Na przykład pewnego ranka planowy pociąg z Osterode najechał w ciemnościach na rosyjski transport wojskowy; było wielu ciężko rannych. Wściekli Rosjanie chcieli aresztować winnego zwrotnicowego, ten jednak był już za siedmioma górami, zdążywszy wszelako zawiadomić swego brata we wsi. Ten też wołał się ulotnić, słusznie się obawiając, że Rosjanie powetują to sobie na nim. Samo zwiewanie nie stanowi zresztą specjalnego problemu, bo mało kto ma więcej, niż to, co na grzbiecie. Poza tym niebezpieczeństwo pogoni w nieznanym okolicach jest stosunkowo małe.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia zastanawiamy się intensywnie, jak by zdobyć trochę tłuszczu – butelkę oleju lub coś podobnego. W końcu biorę starą teczkę, pakuję do niej znalezione na gruzowisku zieloną aksamitną suknię jednej z moich kuzynek, w Biessellenie nabywam bilet i wsiadam do pociągu do Allensteinu. Po przybyciu na miejsce przeciskam się niepostrzeżenie przez dworcowy motłoch i bez szwanku docieram do siostr w Szpitalu Mariackim. Dają mi parę rad, ja zaś kieruję się na targ spróbować szczęścia z suknią. Targ mieści się na dwóch wąskich ulicach nieprzewidzianych do tego celu. Chociaż panuje zimowy chłód, tutejsza krzątana, nawoływania handlarzy, stojący ludzie, ich targi i przepychanki przypominają mi niegdyśszą letnią wycieczkę do Sarajewa – jakby ktoś przeniósł mnie daleko od miejsca znanego kiedyś jako Allenstein.

Na dodatek nie ma tu właściwie niczego, czym warto byłoby handlować. Oferta towarowa nie wykracza poza zapalki, cebulę, resztki materiałów, drewniane chodaki i stare narzędzia ogrodnicze. Tak czy inaczej, kiedy wysuwam z teczki rąbek aksamitnej sukni, mam zaraz wokół siebie całą chmarę interesantów. Każdy próbuje pociągnąć za wystający koniuszek i dotknąć materiału. Wycofuję się powoli aż do stoiska sprzedawczyni zapalek, która zdaje mi się stosunkowo godna zaufania. Za plecami podają jej teczkę, ona zaś znika pod swym straganem, żeby w spokoju obejrzeć suknię. Majątku na niej nie zrobię, ale nie żądam więcej, niż kosztuje butelka oleju, a więc 600 złotych. Jednak kobieta nie chce tyle wydać, zwraca mi więc suknię i teczkę. Natychmiast obstępuje mnie gawiedź. Nagle z jednego domu wychodzi bardzo energiczna kobieta, która prawdopodobnie wyglądała przez okno, rozpycha ludzi i ciągnie mnie za rękę na korytarz. Idziemy na górę po schodach i wchodzimy do wnętrza, potem ona znika, żeby przymierzyć suknię. Znajduję się w naprawdę przyjemnym mieszkaniu, które kiedyś najwidoczniej należało

do jakiegoś lekarza, i jestem zdziwiony, jak porządnie urządziła się tu ta kobieta, jeśli zważyć panujące dookoła warunki. Dość szybko pojawia się przebrana w zieloną suknię, o wiele dla niej za wąską i za krótką, poza tym w niektórych miejscach cokolwiek wytartą. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Kobieta reaguje sympatycznie i opowiada, mówiąc nie najgorzej po niemiecku, w jaki sposób znalazła się w Allensteinie. Jest żoną lekarza, który chwilowo zajęty jest gdzie indziej, ale ona chciałaby zarezerwować dla niego etat. Mam jednak wrażenie, iż wcale nie jest pewna, czy mąż przyjedzie i czy w ogóle do niej wróci. Ona sama też w jakimś sensie tkwi tu na marginesie życia, jak wszyscy inni.

Pakuję suknię i wracam na ulicę. Przechodzę obok sprzedawczynie zapalek, która macha, bym podszedł, i szybko odkupuje ode mnie suknię za 500 złotych. Mam jeszcze trochę polskich pieniędzy, mogę więc w sklepie nabyć wymarzoną butelkę oleju. Pochodzi oczywiście jeszcze z niemieckich czasów, jak prawie wszystkie drobiazgi na sprzedaż w niezliczonych sklepikach.

Zbliża się Boże Narodzenie. Podczas wędrówek przez las nazbierałem bukwi, część jednak na życzenie ciotki rozsypałem. „Skoro masz bukiew – powiedziała – to porozsypuj od czasu do czasu garść na wzgórzu, bo zawsze chcieliśmy je zalesić.” Resztę zatrzymaliśmy do pieczenia. Poza tym mamy olej i mnóstwo pszennej mąki. Jesteśmy zatem świetnie zaopatrzeni.

W czasie świąt Bożego Narodzenia w wielu miejscach odprawiam nabożeństwa, w pierwszy dzień w Rapattien, u pewnej rodziny, która udostępniła duży pokój. Muszę wziąć się w garść, by na widok wszystkich tych wzruszających postaci, nie rozczulić się przy czytaniu bożonarodzeniowej ewangelii. Później wraz z ciotką odwiedzamy ludzi we wsi i wysłuchujemy ich opowieści. Co prawda wszyscy przeszli to samo, ale najwidoczniej każdemu z osobna dobrze robi, kiedy może opowiedzieć o swym losie. Wszystkim kobietom wywieziono mężów i małoletnich synów, niektórym nawet córki. I chociaż teraz nie ma już właściwie czego zabierać, ludzie nadal są narażeni na zdarzające się napady milicji albo przeciągających tędy Rosjan. A ponieważ ci ostatni ciągle jeszcze poszukują zakopanych skarbów, posługując się długimi ostrymi prętami, ludzie, chcąc obrzydzić im te praktyki, pozakopywali w pobliżu swych domostw puste blaszane wiadra. W ogóle powymyślali całą masę chwytów, by wywieść ich w pole. Rosjanie zwykle przetrząsają porządnie wyglądające miejsca, tak więc przezornie przygotowuje się dla nich takie zakamarki, pełne całkowicie zbytecznych przedmiotów.

Zima jest dość łagodna. Okresowo leży dużo śniegu i tropy zwierzyny łownej w lesie nęcą, by udać się na polowanie, tym bardziej, że nikt poza nami tam nie chadza. „Powinieneś właściwie coś ustrzelić – powiada ciotka – bo przecież pewnie już się tu nudzisz.” Pytam ją, jak sobie to wyobraża, skoro nie mamy żadnej broni. Ona na to, że jeden ze starych mężczyzn przebąkiwał coś o flincie, ukrytej ponoć koło piwnicy na łód. Tak naprawdę można by ją ukryć tylko pod trzciniowym dachem lodowni. Udajemy się tam po ciemku i faktycznie znajdujemy dwie strzelby z amunicją. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności jedną zabieramy do mieszkania, żeby ją wyczyścić. Potem znowu ją ukrywamy.

Następnego dnia jest bardzo chmurno i mgliście. Umożliwia mi to udanie się na pierwszy podchód. Szybko docieram do lasu, tu zaś prawdopodobieństwo spotkania człowieka jest bardzo niewielkie. Postanowiłem, że jeśli w ogóle będę strzelał, to tylko do zwierzyny płowej albo do dzika i tylko wówczas, kiedy strzał będzie całkiem pewny. Robi się jednak ciemno, zanim mam ku temu okazję.

Następnego ranka stoję w lesie we wcześniej wybranym miejscu, a ciotka idzie przez znajdujący się przede mną zagajnik, zwany „ogrodem

różnym”, żeby ewentualnie nagonić znajdującą się w nim zwierzynę. W zagajniku są lochy. Uchodzą jednak w bok, tak więc i tym razem nie mamy szczęścia. Mimo wszystko jesteśmy zachwyceni, że w takich czasach udało się nam chociaż raz wspólnie zapolować.

Również bez broni wyprawy przez las mają w sobie coś, czym niepodobna się nasycić. Szczególnie teraz, kiedy buki straciły już wszystkie liście i śnieg podkreśla wspaniałość ich kolumnowych pni, muszę mimo woli zbaczać z drogi i długimi susami pędzić z boczem w dół, do przejrzystych tafli jezior, w których czarnych głębinach krążą ryby. Codziennie towarzyszy nam świadomość, że jest to czas podarowany, czas łaski.

Piątek, 11 stycznia 1946

W Biessellenie witają mnie informacją, że było po mnie UB. Podobno chodzi o coś poważnego. Nie mam powodu się ukrywać, toteż udaję się natychmiast na posterunek. Moje dobrowolne przybycie wywołuje pewne zdziwienie. Pytam, czy ktoś zachorował, czy też mają do mnie inną sprawę. Nie czuję się zbyt pewnie pośród piętnastu uzbrojonych, podpitych i na wpół ubranych mężczyzn. Przez chwilę spoglądają na mnie lekceważąco, a potem któryś oznajmia, że nie wolno mi już organizować zgromadzeń. Na moje pytanie o powód tego zakazu nie otrzymuję odpowiedzi. Potem pozwalają mi odejść.

Sobota, 12 stycznia

Leje jak z cebra. W Biessellenie znajduję karteczkę od „doktorki” z poleceniem, by natychmiast udać się do „lekarza powiatowego” do Osterode i pomóc mu przy operacji. Nie brzmi to całkiem wiarygodne, gdyż o ile wiem, w Osterode nie ma w tej chwili ani sali operacyjnej, ani instrumentów chirurgicznych. Mocno przemoczony wsiadam do lokomotywy jadącej do Osterode, a potem przekradam się do lekarza powiatowego. Kolega po fachu wita mnie na szczęście uprzejmie i prosi, by go zastąpić przez cztery dni. Musi zaraz wyjechać na jakiś kurs do Allensteinu. Oczywiście nie ma mowy o żadnej operacji. Jednak przypadkowo właśnie ktoś przyprowadza młodego polskiego traktorzystę, któremu kolega przez nieuwagę przestrzelił prawe ramię. Siedzieli obok siebie na traktorze i nagle wypalił pistolet maszynowy. Stwierdzamy zmiążdżenie kości i zastanawiamy się, co zrobić, żeby przetransportować go do Allensteinu, gdzie trzeba odpowiednio opatrzyć ciężkie zranienie. Nie jedzie już żaden pociąg, więc wysyłamy zmartwionego kolegę na poszukiwanie jedyne w Osterode samochodu, który należy do milicji. W tym czasie zakładam rannemu prowizoryczny opatrunek. Kurczowo się mnie trzyma i błaga, żebym pojechał z nim do Allensteinu. Dowiaduję się przy tym z niemałym zaskoczeniem, że przybywa z Finckensteinu. Czy pałac jeszcze stoi – nie wie. Wnioskuje więc, że spłonął. Jest to zresztą najbardziej prawdopodobne, gdyż chodzi o najpiękniejszą posiadłość w całych Prusach Wschodnich i Zachodnich.

Kolega z Osterode zaprasza mnie na miłą kolację. Potem trzeba czekać jeszcze parę godzin, gdyż milicjanci wyjechali. Późno w nocy przyjeżdża wreszcie samochód, krótka amerykańska ciężarówka z płaskim nosem. Ładujemy rannego i ruszamy w szalonym tempie przez Jablonken i Dietrichswalde do Allensteinu. Kiedy przejeżdżamy przez lasy wokół Grasnitzu, próbuję zeskoczyć, bo w Allensteinie nie mam czego szukać. Jednak Polak trzyma mnie mocno. Podczas jazdy kilka razy wymiotował, a i ja nie wyszedłem bez szwanku. Około pierwszej w nocy zatrzymujemy się przed drugim szpitalem w Allensteinie. Przyjmują nas pielęgniarki palące papierosy. Kładziemy pacjenta na łóżku w mocno zadymionym pomieszczeniu. Mamy zaraz wracać. Podobno jednak skończyła się benzyna. Musimy więc resztę nocy spędzić w Allensteinie. Kierowcy wiedzą, gdzie jest ciepło. Jedziemy do licznikowni i układamy

się na trzech stołach obok rozżarzonych do czerwoności grzejników. W świetle jaskrawej lampy moi towarzysze natychmiast zasnęli. Mnie się to tak szybko nie udaje, gdyż od prawie 24 godzin tkwię w przemoczonym ubraniu i nie ryzykuję pozbycia się tego okładu na poty. Lepiej być w każdej sekundzie gotowym do ucieczki.

Niedziela, 13 stycznia

Lekki mróz i gołoledź. Jeden z kierowców wyprawia się na poszukiwanie benzyny. Około dziesiątej coś znalazł i wraca. Przejedźmy całe miasto i zatrzymujemy się przed domem, z którego wynoszą trzy niedające się już zamknąć konwie na mleko pełne benzyny i ładują do samochodu. Poza tym napełniamy bak, a potem dosiada się sześciu ludzi, którzy chcą się zabrać do Osterode. Tym razem jedziemy przez Hohenstein. Droga jest dłuższa, ale za to znacznie lepsza, a trzeba oczywiście jechać szybko. Po co w końcu ma się samochód.

Pędzimy przez opustoszałe ziemie. Po chwili wyłania się Hohenstein, kompletnie zniszczony, jak po I wojnie światowej. Pomnik bitwy pod Tannenbergiem^[61] z wysadzoną w powietrze przednią i tylną wieżą wygląda jak ze złego snu. Potem zaczyna się las. Droga jest jeszcze bardziej śliska niż na otwartej przestrzeni. Spod zamkniętej plandeki mam widok tylko do tyłu, ale zauważam z przerażeniem, że droga jest coraz bardziej pochyła. Wpadamy w poślizg, najpierw na lewo, potem na prawo, słychać huk, samochód od tyłu podnosi się w górę, lecimy wszyscy do przodu, a potem leżymy skąpani w benzynie na plandecce wywróconego pojazdu. Aż dziw, że dach wytrzymał. Ponieważ liczyłem się z takim obrotem sprawy, wyczołguję się jako pierwszy, pozostali wychodzą

[61] Bitwę pod Tannenbergiem stoczyły w 1914 roku armie niemiecka i rosyjska; zakończyła się zwycięstwem Niemiec (red.)

jeden za drugim. Nikomu nic się nie stało. Nasz wóz leży nieporadnie z kołami do góry w rowie. Obok zatrzymuje się samochód osobowy, który prawdopodobnie był powodem naszego wypadku, ponieważ przy mijaniu musieliśmy zjechać ze środka drogi. Jeden z naszych pasażerów wsiada i wraca do Allensteinu. Kuleje, a nikt z nas nie wie, jak długo przyjdzie nam tutaj czekać na pomoc. Nam samym z pewnością nie uda się postawić samochodu na koła. Po półgodzinnej bezczynności od strony Osterode pojawia się taka sama ciężarówka, która też pędzi jak na złamanie karku. Machamy już z daleka, kierowca hamuje, wpada w poślizg, uskakujemy z pobocza do zagajnika. Samochód wykonuje obrót o 180 stopni, uderza tyłem w drzewo i staje. Po sekundach strachu spada na nas kanonada sążnistych przekleństw załogi, również polskich milicjantów. Kierowca kilkakrotnie zapuszcza motor, wreszcie zawraca i odjeżdża.

Chwilę później z przeciwnej strony nadjeżdża jakiś chłop. Spozstrzegł nas w rowie i chce się zatrzymać. Jego nędzny koń ślizga się, rozjeżdżają mu się nogi i już bezradnie leży na szosie. Chłop przez chwilę się trudzi, a potem wspólnymi siłami stawiamy konia na nogi i ostrożnie jedzie dalej. Zaczynam marznąć w ubraniu przesiąkniętym deszczem i benzyną. Próbuję się usamodzielnąć, idę powoli wzdłuż drogi, jakbym chciał tylko zobaczyć, co jest za następnym zakrętem, a potem, kiedy jestem już poza zasięgiem ich wzroku, przyspieszam kroku. Chciałbym w miarę możliwości jeszcze tego wieczora dotrzeć do Grasnitzu. Na skrzyżowaniu dróg w Hohensteinie stoi wartownik. Ponieważ jednak idę na wschód, nie budzi to jego podejrzeń. Skręcam na północ, przechodzę przez Manchengut i odwiedzam starego Skibbe, którego córka wróciła w beznadziejnym stanie z Czelabińska. I znów muszę wysłuchiwać, jak strasznie tam, głęboko w Rosji, odnosili się do siebie nasi rodacy. Dziewczyny stłoczone po 80 w bydłym wagonie jechały w lutym tygodniami przez Rosję, bez jedzenia i wody, ani razu nie otwarto nawet wagonu. Kiedy dotarły na miejsce, wiele z nich już nie żyło. Pozostałe skazane były na dalszy ciąg

koszmaru, tak jak w Königsbergu. (Ta dziewczyna zmarła cztery tygodnie później.)

Przy pożegnaniu dowiaduję się ku mojej radości, że stary kaznodzieja ze Związku Modlitewnego w dzisiejszą niedzielę odprawił tu nabożeństwo. Jak dobrze, że milicja choć jemu na to pozwala. Kiedy jednak jestem już blisko Biessellenu, ogarnia mnie nieufność. Wyprzedza mnie jednokonny wóz, powożony przez miejscowego komendanta milicji. Ujrawszy mnie, waha się przez chwilę, ale potem jedzie dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Mam wrażenie, że coś się kroi, ale bezpiecznie docieram do Biessellenu i w ambulatorium dostaję kawę. W jasnym świetle księżycy idę dalej, zbaczam jeszcze krótko na pole, żeby skontrolować nasz kopiec – jest nienaruszony – a około dziesiątej wieczorem jestem w domu u ciotki.

Poniedziałek, 14 stycznia

Wczesnie rano w wysuszonym ubraniu udaję się do Osterode. Nie chcę lekarza powiatowego zostawić na lodzie. Poza tym moje dni w tej okolicy są chyba jednak policzone, skoro w szerokich kręgach zwrócono już na mnie uwagę. Chcę spróbować przedrzeć się na zachód, zanim zatrudnią mnie w Osterode na nie wiadomo jak długo.

Ciotka towarzyszy mi przez las. Spędzony wspólnie czas jawi się nam jak opowieść z ulubionej książki z obrazkami. Nadszedł czas pożegnania. W nocy spadł świeży śnieg. W lesie pełno śladów jeleni i dzików. Strony rodzinne jawią się tak żywo i intensywnie. Krótkie słowa pożegnania, ruszam w drogę i w Biessellenie udaje mi się jeszcze z drugiej strony wskoczyć do pociągu do Osterode.

Najpierw odwiedzam tam pięć katolickich sióstr, które przyjmują mnie niezwykle serdecznie. Najmłodsza z nich jest chora i właśnie przyszedł polski ksiądz, żeby udzielić jej komunii świętej. Kiedy dowiaduje się, że jestem lekarzem, podciąga do góry nogawkę i pokazuje mi ranę, która nie chce się zagoić. Zakładam mu opatrunek i udzielam wskazówek, jak ją pielęgnować. Potem ubiera się w komżę i idzie do chorych. Podążają za nim pełne szacunku siostry.

Plecak zostawiam u sióstr i udaję się, zachowując jak zwykle ostrożność, do szpitala, gdzie mam zastępować lekarza. Szpital w Osterode leży poza miastem i dlatego zachował się w dość dobrym stanie. We wnętrzu odbywa się sprzątanie. Uczestniczy w nim niemiecka diakonisa, która pokazuje mi pobieżnie budynek. Ku mojemu zaskoczeniu odkrywam wszędzie części wyposażenia rentgenowskiego z Insterburga, które wysłaliśmy tutaj przed rokiem, ratując je przed Rosjanami. Oczywiście całkowicie na próżno. Rosjanie byli tu bowiem dzień wcześniej niż w Insterburgu. W szpitalu mają kilka łóżek, a w dokładnie zamkniętym pomieszczeniu przechowywane są amerykańskie tabletki i maści, które przesała tu UNRRA. Dostaję mały pokój z bardzo wygodnym miejscem do spania. Mijają trzy dni w szpitalu bez szczególnych wydarzeń. Jak wszędzie, tak i tu przychodzą prawie wyłącznie kobiety i dziewczęta, żeby się dowiedzieć, czy jest już coś na ich chorobę. Okropna jest ta niewrażliwość wobec nich, do której trzeba było przywyknąć.

Na życzenie lekarza powiatowego sporządzam listę ze wszystkim, co jest potrzebne w normalnej sali operacyjnej. Chce spróbować załatwić coś z tego w Warszawie.

Czwartek, 17 stycznia

Zgodnie z oczekiwaniami dzisiaj ma wrócić lekarz powiatowy, dlatego też zamierzam zaraz wyruszyć na zachód. Po zapadnięciu zmroku odbieram plecak od szarytek, skradam się w stronę dworca i wskakuję do pierwszego lepszego pociągu towarowego. Jedzie na wschód. Muszę zatem po drodze znaleźć okazję i przesiąść się do pociągu w przeciwnym kierunku. Podczas pierwszego postoju w szczerym polu idę do przodu,

napotykam niemiecką załogę pod obstawą dwóch miłych Rosjan i dalej jadę, siedząc w lokomotywie. Wiozą do Rosji części jakiejś fabryki i liczą, że za dwa-trzy miesiące będą z powrotem w Niemczech. Oferuję się w roli palacza. Oni jednak odradzają, gdyż sami mają papiery z rosyjskimi lub polskimi parafkami i są często kontrolowani.

W Allensteinie wysiadam. Na peronach jest tak ciemno, że nie ma niebezpieczeństwa, by ktoś mnie zauważył. W okolicy dworca stoi wiele pociągów towarowych. Puste jadą na zachód. Pertraktuję z kilkoma niemieckimi załogami, ale nikt nie ma ochoty mnie zabrać. Najprawdopodobniej wszyscy są pod silną presją. Kiedy w końcu zaczyna dzień, nie pozostaje mi nic innego, jak wczołgać się z tyłu do pustego wagonu. Trochę później pociąg rusza.

Piątek, 18 stycznia

Koło południa znów jesteśmy w Osterode. Temperatura spadła do minus 20 stopni i jestem tak zmarznięty, że dalsza podróż nie wchodzi w rachubę. Wysiadam i postanawiam po prostu wrócić do szpitala. Może nikt nie zauważył mojej nocnej wycieczki.

Kiedy przechodzę przez tory, przerażony spostrzegam idącego z naprzeciwka komendanta UB. On też jest zdziwiony naszym spotkaniem. „Doktor, idziemy!” Co zamierza? Chce zaprowadzić mnie do jakiegoś chorego? Nie pierwszy raz. Sam zresztą był już moim pacjentem. A może chce mnie aresztować? W tym momencie nie pozostaje mi jednak nic innego, jak pójść z nim. Idziemy kawałek obok siebie w milczeniu, wchodzimy do budynku, przed którym stoi wartownik, a potem stoję w otoczeniu co najmniej dwudziestu umundurowanych Rosjan i Polaków. Wpadłem w pułapkę.

Trochę szyderczo, trochę ze znudzeniem Rosjanie przyglądają się, jak dwóch Polaków mnie rewiduje. Mój znakomity, pieczołowicie spakowany bagaż uciekiniera rozkładają na części. Przedmioty wędrują z rąk do rąk: nowe spodnie, jeszcze z dawniejszych czasów, skarpety, para butów – a tyle zadałem sobie trudu, żeby donieść ten balast aż tutaj. „A, doktor do domu!” – śmieją się ze złośliwą satysfakcją. Nie, naprawdę nie da się ukryć, że chciałem się ulotnić. Po plecaku przychodzi kolej na kieszenie i wszystkie miejsca, w których można coś zaszyć. Znajdują dwa zegarki, ich miny stają się ponure. A ja wstydzę się trochę, że mam jeszcze coś takiego, chociaż są to pamiątki po zmarłych. O wiele bardziej niebezpieczny jest jednak zeszytek, który chwilowo odkładają na bok – mój dziennik. Zawiera on wprawdzie tylko krótkie notatki o codziennych wydarzeniach, ale to wystarczy. Na szczęście pisałem bardzo drobno i niemieckim pismem – może nie będą umieli odczytać. Zostawiają mi kamizelkę z kożucha, którą mam na sobie, i chleb. Niewielką Biblię muszą najpierw skontrolować. Pytam, dlaczego mnie zatrzymali. „Gadałeś polityczne rzeczy i strzelałeś z ludźmi w Gusenofenie.” Podobno dwa razy, kiedy tam byłem, słychać było strzały. To pierwsze odnosi się do nabożeństw, które odprawiałem za ich zgodą, to drugie jest zwykłym wymysłem. W Gusenofenie są tylko zupełnie wynędzniałe kobiety i dzieci. Kto mówił o tych politycznych przemówieniach, pytam. „Niemiecki człowiek.” Nie mogę nic powiedzieć, ponieważ jest to, niestety, możliwe. A potem – do piwnicy.

Niskie pomieszczenie, mniej więcej sześć na sześć metrów, u góry dwa małe okienka. Trzydziestu mężczyzn na dwupiętrowych pryczach, na środku żelazny piec. Poza czterema czy pięcioma Polakami, wszyscy aresztowani to Niemcy. Jeden z nich bierze mnie na swoją prycę i wyjaśnia sytuację. Wszyscy byli w obozie u Rosjan i po kilku miesiącach zostali zwolnieni. Ciężko chorzy wrócili do domu, a w swych domostwach – o ile ocalały – zastali Polaków; ci zaś oskarżyli ich o przynależność do partii i wtrącili do więzienia. Jeszcze do niedawna byli tu sami i mogli

w miarę zachować czystość. Teraz jednak są tu też Polacy zamknięci za pędzenie bimbru, i nie chcą z nimi współdziałać. Od tego czasu znowu szerzą się wszy. Niektórych w ciągu dnia zabierają do pracy, zwykle do sprzątania ulic. Kilku już zmarło, zwolniony nie został jeszcze nikt. Do jedzenia dodają sól potasową, która mocno piecze w język. Radzi mi usilnie zapomnieć o swych rzeczach i przy pierwszej nadarzającej się okazji wziąć nogi za pas.

Po południu przychodzi po mnie strażnik, daje mi w rękę szufelkę i poleca napalić w piecu na górnym piętrze. Może myślą, że tego nie potrafię. Z izby strażników, w której wszyscy jeszcze leżą rozwaleni na stołach, biorę żar z pieca. Grunt to nie pokazać niepewności. Mam wrażenie, jakbym był treserem w klatce lwów. Na schodach, którymi idę, niosąc żar na drugie piętro, jestem przez chwilę sam. Gdybym teraz podpalił dom, to powstałby niezły chaos i niejeden mógłby zwać. Nagle otwierają się drzwi do dużego pomieszczenia i mój wzrok pada na potężnego rosyjskiego oficera, który siedzi pod przeciwległą ścianą na kanapie jak na tronie. Pod stołem u jego stóp leży budzący postrach biały dog. Oficer w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, co by znaczyło, że rzeczywiście mam tylko palić w piecu. Po wykonaniu tej czynności odprowadzają mnie znowu do piwnicy.

Wieczorem wypędzają nas na tylne podwórze, a w stajni dostajemy zupełną rozdzielaną przez jakąś lekarkę. Ona też jest więźniarką. Po wkroczeniu Rosjan wolno jej było jeszcze przez pewien czas pracować w Osterode, potem milicjant zabrał ją do opieki nad swym dzieckiem i już jej nie wypuszczono. Bez mrugnięcia okiem, jakbyśmy prowadzili obojętną rozmowę, objaśnia mi, jak uciec z tego podwórza. Trzeba się dostać do sąsiedniej stajni, a potem wyjść przez okno. Próbuję wycofać się chyłkiem, ona zaś stara się odwrócić uwagę strażnika. Ten jednak jest baczny i popycha mnie kolbą z powrotem.

Nocą krążą mi po głowie różne myśli. Tym razem nie jestem całkiem pewien, czy powinienem uciekać, czy nie. Mam niejasne przecucie, że powodem mojego aresztowania jest ich domniemanie, iż mimo zakazu zorganizowałem albo wręcz sam odprawiłem nabożeństwo w Manchengucie. Tak więc w pewnym stopniu jestem tu, w tej piwnicy, w imię odpowiedzialności za Ewangelię. Co robić? Życie jest tak piękne i tak miło byłoby tych wszystkich, którzy tutaj zgrywają się na stróżów porządku, raz jeszcze wyprowadzić w pole! I kiedy tak leżę na pryczy, duchem jestem już w drodze, na schodach, biegnę przez podwórze do stajni, wyskakuję przez okno, wspinam się po zboczach, przemykam pomiędzy domami, biegnę ulicami i wielkim łukiem okrążam miasto, idąc w stronę jeziora, o którym nie wiem, czy jest już zamrożone.

Niekończąca się noc. Polscy współwięźniowie głośno dowcipkują. Pewien niemiecki wojak, który uciekł z Rosji, a przed trzema miesiącami tu go schwytali, skarży się niemiłosiernie. Wszyscy inni leżą w milczeniu. Od czasu do czasu ktoś wstaje i dorzuca węgla. Nad nami rozbrzmiewa w krótkich odstępach gromki gwar.

Sobota, 19 stycznia

Około siódmej rano na górze pojawia się strażnik, schodzi po schodach do piwnicy i otwiera u nas drzwi. Stary człowiek idzie z nim na górę, żeby przygotować kawę. Skradam się i staję na najwyższym stopniu. Drzwi są tylko przykryte, za nimi stoi wartownik. Znowu mija długa chwila, jest piekielnie zimno, zaczynam już sztywnieć. Na dworze świta. Wtem ktoś woła wartownika, ten odpowiada i robi parę kroków – moja ręka jak we śnie popycha drzwi, jestem na zewnątrz, na podwórzu, dopadam do stajni, przeciskam się przez okno, biegnę zboczem w górę – teraz wystarczyłoby, żeby ktoś wyjrzał przez okno – dobiegam do zwartej zabudowy, jestem na ulicy, biegnę na zachód, później skręcam na lewo i szerokim łukiem

kieruję się coraz bardziej na wschód. W miarę możliwości chcę zmylić trop pościgu – ze względu na psa. Tylko jego się obawiam. Ze zburzonego domu biorę poręczny kawał żelastwa do obrony, biegnę obok szpitala przez Hohensteiner StraÙe, przez ogrody – na szczęście nie widać jeszcze ludzi – a potem na przełaj przez pole. Przekraczam linię kolejową, potem drogę do Jablonken i, żeby ominąć miejscowości, idę w kierunku jeziora Szeląg Wielki. Nic, tylko śnieg i płaski teren. Potem niewielkie rozłożyste sosny, wyboje, piaszczysty grunt. Przebiegam przez plac ćwiczeń. Pojedyncze drzewa okryte szadzią żarzą się już w różowym odbłasku zorzy. Na ziemi kładą się jeszcze niebieskawe cienie. Biegnę i biegnę, aż nagle przede mną stromo opada brzeg jeziora. Las po drugiej stronie! Za nim wschodzi już słońce. Zsuwam się zboczem w dół, do jeziora, żelastwo wybija dziurę w lodzie, ślizgam się po skrzypiącej, trzaskającej powierzchni, padając kilka razy na brzuch, i docieram do lasu. Och, życie i wolność! U góry, na zboczu, pomiędzy wspaniałymi pniami drzew Lasów Taborskich siadam i obserwuję brzeg, z którego przybyłem. Ale nikt nie podąÅa moim śladem. Potem idę w prostej linii na wschód, na przełaj przez drzewostan. Od roku z pewnością nie było tu żadnego człowieka. W starodrzewie zrywa się ze zdziwieniem chmara jeleni i pospiesznie umyka, gdy jestem już tuż obok. Tu na pewno nikt za mną nie przyjdzie. Potem nagle słyszę za sobą szczekanie dużego psa. W sekundzie ogarnia mnie wielkie zmęczenie, opieram się o drzewo, mocno ściskając żelazny pręt. Szczekanie jest coraz bliżej, skrzypi podszycie – mój BoÅe, jeleni w ostrym truchcie, a za nim wielki, kudłaty pies. Wraca we mnie znowu życie. Macham ręką, jeleni omija mnie i biegnie dalej, pies zawraca i znika zawstydzony. Moje serce przepęlnia wdzięczność. Tego ranka cały las należy do mnie. Godzinę później jestem w Grasnitzu. Nikt tu jeszcze nie może wiedzieć o moich ostatnich przygodach. Jednak na wszelki wypadek nie chcę wpaść nikomu w oko. Ciotka jest w domu. Naderwała sobie mięśnie i dlatego nie poszła do pracy, wcale zaÅ się nie dziwi, Åe zjawiam się tak nagle. Przeżyliśmy już niejedną nieoczekiwaną sytuację. Nie było tu jeszcze nikogo, kto by mnie poszukiwał. MoÅe się to jednak zdarzyć w kaÅdej chwili. Kładę się na łóÅku, a ciotka gotuje mi kluski i obserwuje, czy ktoś nie nadchodzi. Zastanawiamy się, co robić. Jaw kaÅdym razie muszę zaraz ruszyć dalej. Ale co będzie z nią? MoÅe Polacy będa chcieli na niej powetować sobie moją ucieczkę? Nie mogę jej jednak zabrać ze sobą – z chorą nogą i w taki mróz. Nie wiadomo nawet, dokąd mielibyśmy się skierować. Zostaje więc tutaj sama, o wiele bardziej ufna niÅ ja i macha mi na pożegnanie, kiedy godzinę później przez nikogo niezauważony opuszczam majątek, z nowym, tym razem bardzo skromnym багаÅem. ___